

## Pietrucha Jacek

### Lepsza przeszłość

„Nowa Fantastyka” - marzec 1991

Jechaliśmy pociągiem od strony Lwowa. Stara lokomotywa zasnuwała niebo kłębamii dymu i pary, z trudnością ciągnąc rozklekotane wagony. Za oknem rozpościerały się bezkresne pola zalane popołudniowym skwarem, obrzydając monotonią i tak już nudną podróż.

Nagle do przedziału wszedł konduktor, a za nim rosyjski żołnierz w pełnym umundurowaniu i pod bronią. Łysawy mężczyzna w wytartym kolejowym mundurku sprawdzał nasze bilety, a żołnierz typtał ponurym wzrokiem spod czapki.

- Kuda? - zapytał ostro i nie czekając na naszą odpowiedź zainteresował się bagażem. - Pokazicie czemodan.

Dokładnie przetrzepał wszystkie torby. Już myślałem, że na tym koniec, bo konduktor zbierał się do odejścia, wtem żołnierz poczerwieniał na twarzy i zablokował wyjście z przedziału.

- Kto wy? Kuda wy jedziecie? - krzyknął i dodał łamaną polszczyzną: - Ja chcę wasze dokumenty.

Oddaliśmy mu wszystkie nasze dokumenty. Przejrzał je uważnie, ale bez zainteresowania. Pokręcił głową i oddał:

- Wam nada przepustka.

Zaczął zdejmować z ramienia karabin, zaś konduktor jak gdyby nigdy nic cofnął się. Poczułem, że blednę i oblewa mnie zimny pot. Na szczęście nagle z dzikim piskiem kół zaczął hamować pociąg. Rozległy się też stłumione strzały.

Żołnierz wyjrzał na korytarz i zaraz wrócił do przedziału. Nie wiedział teraz co ma robić. Naraz zarepetował karabin i rzucił się pędem tam, gdzie dochodziły strzały. Natychmiast wyrzuciliśmy bagaże przez okno i potem wyskoczyliśmy sami.

Po godzinie dotarliśmy do małej stacyjki. Wszędzie kręciło się mnóstwo carskich policjantów, ale nikt nas nie zaczepiał. Adam, mój zastępca, sprawdził nazwę stacji i chwilę studiował mapę.

- Nie jest źle - obwieścił. - To tylko dwa przystanki. Za dwie, trzy godziny będziemy na miejscu.

- Towarzyszu poruczniku, obserwują nas - szepnął szeregowy, który pierwszy raz brał udział w akcji. - Tych dwóch przy rozkładzie jazdy.

Dyskretnie odwróciłem wzrok. Rzeczywiście, przy rozkładzie jazdy stało dwóch facetów w długich, poplamionych płaszczach. Wcale nie interesowały ich godziny odjazdu pociągów.

- Może tak, może nie - powiedziałem. - Ale lepiej nie kuśmy licha. Chodźmy stąd, wzbudzamy zbyt duże zainteresowanie.

Stacyjkę otaczały lasy. Szliśmy wąską przecinką, zgodnie z trasą wytyczoną przez Adama.

Było wczesne popołudnie. Za oknem nisko wisiały ołowiane chmury i miarowo siąpił deszcz. Leżałem na łóżku, na wpół spałem, leniwie popatrując w telewizor. Na ekranie trwali w uścisku Gierek i Tołgonow Gierek z głęboko osadzonymi, szklistymi oczami i obwisłymi policzkami tonął w potężnych ramionach genseka o wyglądzie ponurego Sybiraka.

Zadzwoił telefon. Wyłączyłem fonię telewizora i podniosłem słuchawkę. Skrzeczał w niej głos szefa wydziału.

- Jesteś wreszcie! Szukam cię już dwie rodziny.

- Dzisiaj mam wolne. Od rana siedzę w domu.

- Dobra - przerwał mi. - Szkoda czasu na gadanie. Zapomnij o wolnym dniu. Postaraj zjawić się jak najszybciej.

Odłożył słuchawkę.

W głowie huczało jeszcze po wczorajszej popijawie. Tradycyjnej popijawie z okazji pomyślnie zakończonej akcji. Opadłem na łóżko. Nie należało odbierać telefonu. Nic by się nie stało, gdyby szukali mnie następne dwie godziny.

W telewizorze bijąca czerwienią Sasa Kongresowa trzęsła się od oklasków. Wzdłuż galerii biegły hasła mające w sobie coś z szantażu: „Naród z Partią Partia z Narodem” i dalej: "Witamy delegatów na XII zjazd".

Zwlokłem się z łóżka i w łazience dwukrotnie zaciałem twarz nowym Polsilverem. W telewizorze facet o drętwym wyrazie twarzy bezgłośnie, jak ryba, poruszał ustami na tle styropianowych liter :Wszystko dla planu 1989-94". Szybko ubrałem się i wyszedłem na ulice.

Wiał porywisty wiatr, targając czerwone i białoczerwone flagi na każdej latarni. Chodniki pełne były dzieci, ściągniętych z okolicznych szkół na powitanie Najwyższego Gościa. Dzieci krzyczały i powiewały kolorowymi chorągiewkami. Wychowawczynie na próżno usiłowały je uspokoić.

Do siedziby wydziału dotarłem wściekły i przemoczony. W swoim pokoju zrzuciłem wilgotny płaszcz i z przyjemnością rozsiadłem się w fotelu. Sięgnąłem po telefon.

- Jest szef?

- Długo czekał na towarzysza - odpowiedział bezbarwny głos. - Teraz jest zajęty. Proszę się zjawić za pół godziny.

Upiłem łyk gorącej kawy. Na biurku leżał egzemplarz "Trybuny Ludu". Wielkie zdjęcie przedstawiało rytualny pocałunek przywódców dwóch partii. Tytuł szeroki na stronę głosił, że przyjaźń między naszymi narodami jest wzorcowa i wieczna. Niżej w oddzielnych kolumnach były przemówienia Tołgonowa i Gierka. Drugą stronę gazety zajmowało streszczenie założeń planu na lata 1989-94. Wypiłem jeszcze łyk i zacząłem czytać o rozpoczynającym się 17 listopada 1989 r. posiedzeniu komitetu politycznego państw stron Układu Warszawskiego. "Braterskie armie ludowe ZSRR, Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Grecji, Albanii, Rumunii, Węgier, NRD, Jugosławii i Polski będą stały na straży pokoju...".

Już ponad godzinę obserwowaliśmy ten stary dom. Stał w głębokim cieniu; przed frontowym wejściem nerwowo przechadzało się dwóch młodzieńców. Czterech innych pilnowało pozostałych wejść, następna czwórka patrolowała park. Byli czujni jak stare psy. Ale nic dziwnego.

Zajęliśmy stanowiska w zdziczałym i zarośniętym ogrodzie, oplątując dom niewidzialną siecią. Michał zamontował awaryjny tunel powrotny w opuszczonej posesji pod numerem 24, a ja wydawałem ostatnie rozkazy. Teraz pozostawało tylko czekać.

Na przemian obserwowaliśmy więc przez lornetkę upstrzony oknami front domu. Za którymś z tych okien obradowało kierownictwo Organizacji Bojowej PPS, z jej przywódcą Józefem Piłsudskim.

Zaczęło się ściemniać. W kilku oknach zapaliły się światła. Młodzieńcy przy wejściu stawali się coraz bardziej niespokojni.

Zrobiło się zimno. Postawiłem kołnierz kurtki. Brałem udział w wielu tego typu akcjach, ale zawsze odczuwałem to samo. Dla większości ludzi historia to martwa, niezmienna przeszłość zapisana w książkach. Dla mnie, jak chyba dla nikogo innego, jest ona zmienna, relatywna, pulsująca i żywa, krucha i łatwa do kształtowania - podobna dziecku, bezwładnie podążającemu w zadanym kierunku. Czy mogłem mieć jeszcze zaufanie do historii? Jeżeli teraz zabijemy Piłsudskiego, to odtąd dla wszystkich ludzi ten fakt będzie oczywisty. Tak będzie się pisało w podręcznikach (jeżeli ktokolwiek będzie o tym pisać) i prawdą będzie, że młody, obiecujący przywódca socjalistów zginął z rąk nieznanymi zamachowcami w 1905 r. Nikt nawet nie pomyśli, że mogłoby być inaczej. Nie trzeba fałszować historii, wystarczy ją zmienić. Ludzie nie wiedzą, że gdzieś istnieje siła, która może nadawać ich światu nowe kształty, a oni nawet tego nie zauważą. Jak bezkształtna woda wypełni naczynie nowej rzeczywistości. Przerazenie ogarnia mnie na myśl, że mógłbym stać się taką wodą, bezmyślnie wypełniającą naczynia różnych historii. Dlatego robię to, co robię, i pracuję tu, gdzie pracuję. Przebywając w przeszłości i dokonując zmian wyłączony jestem z normalnej zależności przyczynowo-skutkowej, tak jak wyłączeni są z niej wszyscy przywódcy partyjni i państwowi przebywający w komorach nad czasowych.

Po dwóch kwadransach ślęczenia nad "Trybuną" wychodzę do szefa. Na drugim piętrze widać niezwykle ruch w wydziale teoretycznym. To zastanawiające, przecież dopiero wczoraj skończyli realizować ostatni projekt, a po każdym zadaniu zwykli kilka dni odpoczywać. Wydział teoretyczny opracowuje dokumentację każdej wyprawy. To oni planują, co, gdzie i kiedy należy zmienić w przeszłości, by teraźniejszość zaspokoila oczekiwania najwyższego kierownictwa. To ich problem, by efekty uboczne ingerencji w przeszłość nie doprowadziły do niepożądanych zmian dzisiaj. Zwykle nad swoimi łańcuszkami przyczynowo-skutkowymi ślęczą i po kilka miesięcy, mimo pomocy najnowocześniejszych amerykańskich komputerów. A i tak do tej pory nie ingerowaliśmy dalej niż dwadzieścia lat wstecz.

Szef siedział za swym koślawym biurkiem i z kwaśną miną wyglądał za okno.

- Nie mamy czasu na próżne gadanie - zaczął. - Szykuje się nowa akcja i jesteś nam potrzebny.

Usiadłem w fotelu naprzeciw jego biurka. Kamienna twarz szefa nie wróżyła wiele dobrego.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - stwierdził, mimo że nie próbowałem otworzyć ust. - Że dopiero co skończyłeś... Masz wolne... i tak dalej. Nic na to nie poradzę. Wyższe instancje. Gdyby ode mnie zależało, dostałbyś miesiąc urlopu. Ale wczoraj przyszła z Moskwy komputerowa dokumentacja projektu "PSRR". Nasz wydział teoretyczny nie miał tu nic do gadania, tym bardziej że projekt zakłada cofnięcie się o osiemdziesiąt lat, w czym nie mamy żadnego doświadczenia.

Patrzył bezosobowym wzrokiem w punkt za moimi plecami.

- Towarzysze radzieccy nalegają, by wykonać projekt jak najszybciej. Ma to być prezent z okazji zjazdu. Akcję rozpoczniemy już jutro o czwartej po południu. O tej porze wszyscy członkowie władz partyjnych znajdą się w komorach nadczasowych. Będziecie mieli 24 godziny na wykonanie zadania.

Odchylił się i wyjął z szuflady grubą kartonową teczkę. Podając mi ją odwrócił wzrok do okna.

- Tutaj masz całą dokumentację. Twoim zadaniem będzie zabić Piłsudskiego, zgodnie z tymi materiałami, najlepiej w okresie rewolucji 1905 r. tuż przed rozłamem w PPS.

Przerwał na chwilę, pobawił się długopisem i mówił dalej.

- Akcja jest tylko częścią projektu. Inne grupy w tym samym czasie zlikwidują między innymi Dmowskiego, doprowadzą do rozszerzenia się rewolucyjnych nastrojów w 1917 roku w Zagłębiu na kolejne regiony, zmienią skład i wzmocnią rząd lubelski z 1918 r. I tak dalej.

- No cóż - szepnąłem konspiracyjnie. - Kto rządzi teraźniejszością, rządzi również przeszłością. Tak napisał Orwell.

- Nie wiem, czy słyszałeś - ożywił się szef. - Mają skasować także Orwella. Niedługo nie będziemy wiedzieli, że ktoś taki w ogóle istniał.

W swoim pokoju rozsiadłem się wygodnie i otworzyłem teczkę poprzecinaną napisami "Ścisłe tajne". Gruby stos kartek zapisanych maszynowym pismem. Przeczytałem kilka pierwszych linijek: "Dzięki wielkiemu, historycznemu wynalazkowi maszyny czasu znakomitych radzieckich uczonych D. Priwina i K. Doktorowa otrzymaliśmy do ręki nową, skuteczną broń przeciwko zakusom zachodniego imperializmu".

Czekał mnie ciężki dzień.

Michał potrząsnął moim ramieniem.

- Jest ósma - syknął. - Za dwadzieścia minut będą kończyć.

Powoli zapadała zimna noc. Park tonął już w ciemnościach, tylko od słabo oświetlonego domu płynęła blada strużka światła.

- W porządku - powiedziałem. - Pójdę zobaczyć co u chłopców.

Michał powrócił do lornetki, przez którą obserwował coraz bardziej senne grupki młodych strażników.

Powoli rozgrzewając mięśnie zacząłem przedzierać się przez rozrośnięte krzaki otaczające wielkim półkolem front domu. Nagle zastąpiła mi drogę ciemna ruchoma sylwetka.

Zamarłem w bezruchu. Ale z cienia wyłoniła się twarz Adama.

- Dzieje się coś dziwnego - wydyszał. - Na drodze. Pośpiesznie zaprowadził mnie do punktu, skąd jeden z chłopców obserwował drogę. Wczołgałem się pod żywopłot i wyjrzałem na zewnątrz. Miałem idealny widok na całą ulicę. Była ciemna i wyludniona, tylko dokładnie naprzeciwko ogrodu, w bramie niskiej kamienicy stało dwóch mężczyzn. Palili papierosy, co chwilę spoglądając w naszą stronę. Rozpoznałem grube, wełniane mundury carskiej policji.

- Najciekawsze jest to - szepnął leżący obok Adam - że oni wcale nie patrzą na willę. Od samego początku obserwują ogród.

- Wątpię, żeby w tych ciemnościach mogli dostrzec coś podejrzanego.

- A jednak obserwują ogród. Jestem tego pewien. Mogli nas dostrzec, gdy tu wchodziliśmy.

Chciałem odpowiedzieć, że to niemożliwe, ale nie zdążyłem. Do policjantów stojących w bramie dołączyło kolejnych dwóch, a po chwili jeszcze czterech. Nagle wszyscy zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię. Zobaczyłem dwóch przebiegających ulicę; w ich dłoniach tkwiło coś, w co w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć. Były to długie, ciemne kształty karabinów maszynowych. Poczujęm, jak serce podchodzi mi do gardła.

Skąd karabiny maszynowe w rękach carskiej policji z 1905 roku?

Jeszcze nie dotarły do mnie wszystkie konsekwencje tego odkrycia, gdy wieczorną ciszę rozdarły strzały i wybuch granatu.

Natychmiast wygrzebałem się spod żywopłotu. Nad ogrodem zawisła gorejąca fosforycznie flara, zalewając nas potokiem jaskrawego światła. Padłem na ziemię przy najbliższym drzewie.

- Co jest u diabła! - zapytałem sam siebie. Flara opadła. Spowiły mnie nieprzeniknione ciemności. Gdzieś po drugiej stronie ogrodu rozszechła się karabin maszynowy. Blisko rozległy się dwa strzały. Nie pojmując, co się dzieje, począłem czołgać się w stronę zarośli.

Tam odnalazłem Adama. Twarz miał pobladłą i wymazaną ziemią. Wpatrywał się zdezorientowanym wzrokiem w ciemną ścianę lasu.

- Gdzie jest reszta chłopców? - spróbowałem przekrzyknąć wystrzały. Wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć, co się dzieje w tym bajzlu? Wiem tyle, co i ty. Czekał na moją decyzję, więc powiedziałem:

- Odszukamy Michała, potem zdecydujemy, co dalej.

Gdy przedarliśmy się przez krzaki, pierwszą rzeczą, którą dostrześliśmy, była leżąca na ziemi lornetka. W prześwicie między drzewami widać było biegających w różne strony członków Organizacji Bojowej. Nagle Adam złapał mnie za ramię, wskazując leżące bezwładnie pod drzewem ciało Michała.

Usłyszałem suchy, pojedynczy strzał. Kula minęła nas o milimetry. Natychmiast padłem na brzuch i przetoczyłem się za drzewa.

Po chwili nabrałem odwagi, by podnieść głowę. Adam strzelał na ślepo w krzaki. Za którymś razem musiał trafić, bowiem nikt już do nas nie strzelał. Adam sądził chyba, że nie żyję, bo nie oglądając się nawet skoczył w ciemność.

Strzelanina nagle ucichła, ale ogród pełen był wrzasków i nawoływań. Wyjąłem zza pasa pistolet i odbezpieczyłem go. Wahałem się, dokąd biec. W ciemnościach między ogrodowymi krzakami i drzewami w każdej chwili ktoś zniecka mógł na mnie wyskoczyć. W trakcie walki na ślepo mógłbym zabić kogoś ze swoich.

Wybiegłem na ścieżkę prowadzącą do głównej bramy od frontowego wyjścia. Pilnujący go młodzieńcy zdołali opanować panikę i teraz zajęli znakomite stanowiska strzeleckie za balustradami schodów i niskim murkiem okalającym kwietniki.

Zaczęli do mnie strzelać, ale mimo niewielkiej odległości bardzo niecelnie. Nie czekając, aż się wystrzelają, przeskoczyłem płot i popędziłem w dół ulicy. Kątem oka dostrzeżłem dwie męskie sylwetki odrywające się od schodów i biegiem podążające za mną. Kilka razy strzeliłem za siebie, ale nie trafiłem.

Nagle o ulicę zabębnił grad pocisków. Natychmiast padłem na chodnik. Moi prześladowcy także leżeli nieruchomo na środku ulicy. Może dostali? Kolejna seria pocisków gwizdnęła mi nad głową. Strzelec znajdował się w narożnej posesji oznaczonej na wysokim płocie numerem 24. Wytłumaczenie było jedno. Ktoś bronił dostępu do tunelu powrotnego. Mogli to być zarówno moi chłopcy, jak i tajemniczy napastnicy w carskich mundurach.

Powoli wyczołgałem się ze strefy ognia. Krótką przecznicą dotarłem do ulicy równoległej, by znaleźć się po drugiej stronie posesji, na tyłach zrujnowanego domu. Tuż przy płocie dostrzeżłem leżącego człowieka i długą lufę karabinu. Dzielilo mnie od niego kilka metrów. Leżał spokojnie i wpatrywał się w ulicę. Nie spodziewał się, że ktoś może go zająć od tyłu. Nagle odwrócił się,

Nie czekając, aż mnie dostrzeże, strzeliłem kilka razy. Znieruchomiał, a lufa karabinu opadła bezwładnie. Podeszedłem do niego. Mundur carskiej policji był źle dopasowany. Przeszukałem wszystkie kieszenie, ale nie znalazłem niczego pozwalającego rozszyfrować jego tożsamość. Obejrzałem karabin. Długa lufa i trójnoga podpórka. Nigdy takiego nie widziałem.

Kilka metrów przede mną rósł wielki, rozłożysty dąb. Powietrze wokół drgało połyskliwie jak w upalny dzień. Tunel powrotny.

Minęło już prawie pół roku, ale wciąż nie potrafię zapomnieć wrażenia pustki i niepokoju, jakie ogarnęło mnie, gdy zostałem wyrzucony przez tunel powrotny w rok 1989.

Nigdzie nie było transparentów i flag. Z budynku, w którym mieścił się nasz wydział, zostałem prawie wyrzucony.

- Pan tutaj pracuje? - zapytał podejrzliwie i agresywnie stary portier. - A w której spółce?

- Spółce? - odparłem zmieszany. - Przepraszam, widocznie pomyliłem budynki.

W sklepie, do którego zajrzałem, półki pełne były towaru, ale po horrendalnych cenach. Pieniądze, które miałem w kieszeni, nie starczyłyby nawet na pudełko zapalek.

Godzinami zaszokowany chodziłem po mieście. Potem zrozumiałem wszystko i przyzwyczyłem się. Nic innego mi nie pozostało.

Musiałem złapać jakąś pracę, co nie okazało się proste. Kilka miesięcy żyłem z zasiłku. Całymi godzinami siedziałem przy telewizorze i oglądałem transmisje z obrad parlamentu, gdzie przedstawiciele różnych opcji politycznych skakali sobie do oczu, wygadując rzeczy, których jeszcze nie tak dawno nawet

bym się nie odważył pomyśleć. Przyzwyczałem się do tego, podobnie jak do orła w koronie, do codziennego kupowania "Gazety Wyborczej" i mnóstwa innych, drobnych, zdawałoby się niepozornych zmian, które uczyniły świat zupełnie innym.

Do tej pory nie wiem, kim byli naprawdę carscy policjanci, którzy udaremнили nasz zamach na Piłsudskiego. Już od 1987 roku pojawiały się plotki, że nad własną maszyną czasu pracują Amerykanie, Żydzi, Chińczycy, Niemcy i Arabowie. Być może, nie były to tylko plotki. Maszyna mogła także wpaść w ręce którejś z polskich grup opozycyjnych. Ktokolwiek to był, zrobił z maszyny dobry użytek. W ciągu jednego dnia kompletnie odmienił świat. I wątpię, by na tym poprzestał.

Najgorsze, że kolejnej zmiany już nie odczuję, podobnie jak miliony ludzi nie rejestrowały zmian przygotowanych przez mój wydział. Prawdopodobnie nie będę wiedział, kim byłem kiedyś. Żyję w ciągłej niepewności, nie wiedząc, w jakim świecie obudzę się następnego dnia. Dlatego też nie urządzam mieszkania, nie zakładam rodziny, żyję z dnia na dzień.

\*\*\*

Jak pędziłem swoim mercedesem z Lwowa do Wilna, gdzie miałem ważne spotkanie z Litewską Misją Handlową w Polsce. Mimo że wóz wjechał już na nierówne podwileńskie szosy, wciąż miałem na liczniku powyżej setki. Groziło to połamaniem resorów. Kiedy w bocznej szybie zauważyłem przyczajony w leśnej przecince żółto-niebieski wóz policji drogowej, było już za późno. Zmniejszyłem prędkość i czekałem aż policyjny krakus, najnowszy produkt COP-u, dogoni mnie..

Zatrzymałem samochód, opuściłem boczna szybę i czekałem, aż podejdzie policjant w granatowej bluzie i wysokiej czapce z daszkiem. Już pogodziłem się z tym, że będę musiał płacić.

- Dokumenty - zażądał. Wyciągnąłem z kieszeni dowód i wysunąłem za okno. Policjant zaczął go przeglądać i jednocześnie mówił: - Przekroczył pan szybkość o trzydzieści kilometrów na godzinę. Mógł się pan zabić.

Przyjrzał się zdjęciu i odczytał nazwisko.

- Pan Grzegorzewski, z Niemieckiego Towarzystwa Węglowego, tak? Kiwnąłem głową.

- Będzie to wynosić, jak dla pana, pięć złotych. Wiedziałem, że normalnie za takie przewinienie nie powinienem zapłacić więcej niż dwa złote. Ale nie miałem czasu na kłótnie. Poza tym powoli przyzwyczałem się już do tego, że współpracownicy Niemców nie są mile traktowani przez moich rodaków. Bez słowa zapłaciłem i policjant wrócił do krakusa. Zapaliłem silnik i nacisnąłem gaz. Aby nadrobić stracony czas, jechałem jeszcze szybciej,

Dopiero na przedmieściach Wilna włączyłem radio. W samą porę. Spikerka odczytała kolejną wiadomość:

- Dzisiaj rano stanęły wszystkie kopalnie na polskim Śląsku należące do Niemieckiego Towarzystwa Węglowego. Jest to strajk solidarnościowy z niemieckimi górnikami kopalń z Gleiwitz i Hindenburga, którzy od tygodnia bezskutecznie domagają się wzrostu zarobków. W odpowiedzi dyrekcja NTW odwołała całą polską administrację.

Zatrzymałem samochód na niewielkim parkingu przed pomnikiem Piłsudskiego. Bezmyślnie zacząłem wpatrywać się w witrynę księgami. Prawdopodobnie byłem zrujnowany.

maj 1990  
Jacek Pietrucha